



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

KARTA Z PAMIĘTNIKA POETY.

III.

Przebudzenie.

„W krainie przedmiotów, myśl, wyleciawszy z głowy, zwykła wracać jak pszczoła, obladowana miodem wrażeń.”

Hen. Sien.

„Wrażenia są długiem, jaki ciągnąmy względem świata... Świat nam daje wrażenia, my mu dajemy czyny.”

Jul. Ochor.

Sierpień.

Nie, nie mogłem zostać dłużej w mieście i tak siedzieć wśród murów, wśród gorąca i pyłu. Czuję się tak zmęczonym pracą i rozmyślaniami nad sobą, że trzeba mi było koniecznie dostać się gdzieś do wielkich obszarów, odetchnąć niezmierną przestrzenią, zanurzyć się w czemś ogromnym, pięknym a chłodnym, co by ze mnie uczyniło taki atom przede mną samym, żebym, oddając się kołyszącej ciszy ogromu, mógł choć na chwilę zapomnieć o własnym istnieniu.

Przeszłość była mi, jak trumna, przyszłość, jak wieko, a wewnątrz, z oczami otwartymi, czuwało zmęczone życie—ja. Miałem nieprzewyżnione pragnienie zmiany miejsca, widoków, otoczenia, ruchu. Marzyłem o podróży. Czyż trzeba daleko jechać, aby znaleźć pożądany bez-

miar, co by nas, pochłonawszy, uspokoił sobą? Dość przecie spojrzeć w górę; tam jest nieskończony obszar. Stepy błękitne bez końca, po których myśli bujać mogą, jak tabun wolnych rumaków. Zapewne, ale mnie chodziło o zmianę. Miałem już dosyć tych czysto-duchowych sfer, gdzie dusza moja błąkała się od roku, szukając wytechnienia, dosyć miałem tej bezbrzeżnej pustyni, na której sam stwarzać sobie musiałem wrażenia, co niepoparte zewnętrznym doświadczeniem, tyle miały wartości w końcu, co Fata-Morgana.

Nie było tam nic nowego; zawsze jeszcze odbicia z przeszłości. Zniecierpliwilem się, znużyłem i zbuntowałem. — „Chcę wichrul tententu! — wołało coś we mnie, — i wrażeń! nowych wrażeń!” Budziła się we mnie siła odczuwania i dobijała się, aby ją wypuścić na wolność; jak Wilhelm Zdobywca, wrywała się ze swej siedziby w dal, na podbój nowej ziemi. Moja myśl, jak Kolumb, niespokojnie stała nad brzegiem znanego jej dotychczas świata i z tęsknotą patrzyła przed siebie, ku przeczuwanym, nieznanym krajom. Myślałem sobie: „To, czego człowiek rozumowo pragnie, to gdzieś koniecznie musi być. Naturalny popęd do czegoś musi być logicznym, a więc możebnym w pewnych warunkach; bo przecież gdyby był zupełnie niemożebnym, czyżby był logicznym, a będąc naturalnym, przyrodzonym, jakąż byłby fatalną dla ducha męczarnią!” Chciałem sam przed sobą udowodnić że mój popęd do podróży nie jest tylko wytworem chciwej nowości wyobraźni, ale istotną potrzebą mego umysłu, który pragnął odświeżenia się i tworzywa dla siebie. Poprostu: dusza moja była zgłodniała, dopominała się posiłku, łaknęła, pragnęła. Ja słyszałem ten krzyk wewnętrzny, ale nie biedaczce dać nie mogłem; pamięć stała pustkami, zapasy się wyczerpały. Myśli mi ciążyły. Oparłem głowę na rękę. Sprawia to jednak pewną ulgę, szczególniejszemu smętnym usposobieniom. Tak przedstawiają wspartego na rękę Heinego,

tak samo duma Leopardi, Milton, Krasiński. A, co mi tam! przeciem już nie poeta, los mi tylko dawne, melancholiczne przywyczajenie zostawił. Szyderca jakiś! „Podróż—myślałem sobie—cudowna rzecz! Zobaczą nowe kraje, nowych ludzi; będę miał różne zdarzenia i dostanę się do nowych wrażeń.”

Dusza moja opustoszała i stoi otworem, gotowa na przyjęcie wszystkiego. Są dwa sposoby napełnienia duszy: raz wtedy, gdy długo zostajemy pod działaniem świata zewnętrznego, czy-to natury, czy sztuki, czy stosunków z ludźmi, i dusza nasza chłonie w siebie ten materiał, zrazu bez porządkowania go, bez planu, często bez świadomości prawie; napełnia się, bo jest to jej naturalną potrzebą, a świat dostarcza jej pożywienia i „głód wrażeń” zaspakaja.

Ale przychodzi chwila nasycenia; dusza jak czara pełna, więcej już przyjąć w siebie nie może, póki tego, co do niej wpłynęło, nie obróci na swą korzyść; zaczyna się nowa praca. Pochłonięty materiał rozdziela się, gatunkuje, układa, jak kosztowności w skarbcu; złote nitki łączą się ze sobą, zwijają, zaciesniają. tworząc przedzę myślenia; perły uczucia prawdziwego płyną jedne po drugich, jak serca uderzenia; spostrzeżenia skupiają się w kryształ sądów, wyników, przekonań i w przezroczystym łonie odbijają prawdę; wszystko zamienia się w materiał wiedzy wewnętrznej i powoli tracąc zewnętrzną formę, jaką przyniosło ze sobą, będąc wrażeniem, staje się coraz bardziej oderwanym światem duchowym, nowe przybiera postacie, nowe cechy, nastroja się do indywidualnych właściwości umysłu i tak przerobiony materiał staje się czemś nowem zupełnie.

Wrażenia pochłonięte było gliną, w którą tchnięto ducha; blaha forma traci swe znaczenie i zostaje tylko jako pierwsza doświadczalna podstawa, po której coraz dalej wspina się rozum-

jąca myśl. Spożytkowawszy wrażenia, wybra-
szy z nich wszystkie żywotne atomy, pragnie
ona iść dalej, na widzialnych danych przypuszcza,
odszukuje, stwarza nowy świat, który rozmiar-
em swym przechodzić znów zaczyna zasób ze-
wnętrznych doświadczeń, i nowego będzie mu
trzeba probierza rzeczywistości, z którą zmie-
rzyć wypadnie wynik tej idealnej pracy. Wtedy
jest drugie napełnienie, czysto-rozumowe. Trzeba
się rzucić znowu w świat zewnętrzny, myśli
swe przymierzać do prawd jego i mieć ten sąd
surowy dla siebie, co wykreśla nieprzystające do
rzeczywistości wyniki. Oba te napełnienia są
kolejnym, nieustannym stanem duszy człowieka,
naturalnie, jeśli on nie jest otyłe apatycznym.
Ze świat widzialny na niego nie działa, a świat
wewnętrzny wyrabiać mu się nie chce. Są
przecież umysły, w których nic się nie dzieje.
to jest nie dzieje się nic za ich ożywną pewnym
dążeniem woła. Widziałem ludzi na których
nie działały piękności natury; ręką przysłania-
li oczy od blasków wspaniałego zachodu słońca,
nie mogąc pojąć, jak można się rzeczą tak prostą
zachwycać; słuchali muzyki z tem bezwiednym
zadowoleniem jedynie, jakie sprawia dźwięk
uderzający o nerwy słuchu, jakie wywołuje wy-
jście z neutralności pewnego organu. Tak i koi
strzyże uszami, gdy usłyszy wojskową pobudkę.
Wrażenie każde, nawet najdrobniejsze, trzeba
umieć przyjmować; ale umiejętność tę trzeba
albo mieć wrodzoną albo ją wyrobić w sobie:
inaczej, między duszą a światem zjawisk stoi
chiński mur obojętności, o który się wszelki roz-
wój umysłowy rozbija.

Popęd mój do podróży tłómaczyłem sobie ta-
kiem napełnieniem mojej duszy, jakie daje dłu-
gie myślenie, kiedy dawne obrazy z pamięci mo-
jej już znikły, a nowych brakło mi jeszcze.
Niemcy, ci wyborni analizatorowie ludzkiej du-
szy, zrozumieli doskonale tę wielką potrzebę
zmiany miejsca i ruchu w młodym wieku, po-
trzebę podróży, w której wyrabia się samodziel-
ność, przytomność, bystrość i poezja. „Das
Wandern” to pragnienie każdego młodzieńca.
Wędrują więc wyrwoleni czeladnicy, wędrują
młodzi uczeni, turyści w różnych celach, akto-
rowie, robotnicy, poeci. Wynik tych podróży
odbił się korzystnie w literaturze i sztuce, po-
mijając już wszystkie korzyści dla życia z takiej
wędrowki inteligencji. Powstawały zbiory ry-
sunków, poezji, myśli: „Wander-Lieder”, „Wan-
der - Melodien”, „Wander - Bilder” i t. d. Czło-
wiek uważa ziemię jako przestrzeń wyznaczoną
mu do przejścia i spieszy się, pilno mu; chce
ją poznać nim odejdzie.

Ziemia jest zajazdem dla duchów: wstępują na
kilka chwil powitać się, pożegnać się,—i dalej!
Wszyscy poeci podróżowali bezustanku prawie.
„Bywaj mi zdrowy, kraju kochany!”—rzekł By-
ron i pusiwszy się w drogę, szedł bez wytchnie-
nia, „zobaczyć góry, zobaczyć morze”; zaglądał
w przepaści alpejskie, rzucał się w pław w tur-
kusową falę Lemanu, przeleciał lądy i morza
i spoczął w końcu aż na greckim wybrzeżu,
a za nim, jak chmura, leciały fantastyczne poema-
ta, pisane z szybkością błyskawicy. Wątpić należy,
czy, gdyby był został na miejscu, przyszłyby sie-
dzącemu w parlamentarnem krześle podobne po-
mysły do głowy? Cervantes mało się nie utopił
w oceanie, Goethe wdychał bezustanku za
tamtą stronę Alp; Heine najpiękniejsze swe
piosnki pisał w „Podróży”; Lenau błądził po
lasach, nad wodami i tam znalazł swoje „Schilf-
lieder”; Hugo z powietrza Hiszpanii, z mgły na
Guernsey czerpał natchnienie; Słowackiego gna-
ła fantazja ze szczytów lodowych w kwieciste
doliny, z ciszy w ludzki gwar; Wernyhora, Tym-
ko Padura szli, gdzie ich oczy poniosą, czując
to w głębi duszy, że „największy czar-wędrow-
ność pieśni.”

Jest to całkiem naturalny, psychologiczny ob-
jaw, ta żądza wrażeń; dusza chce się świata do-
tykać, aby mogła o nim myśleć. Fantazja łą-
czy tylko wyobrażenia, ale ich nie stwarza. Fi-
lozofia, o ile zajmuje się samą duszą człowieka,
ma przedmiot badania, ale poza nią, poza histo-
rycznym przebiegiem dotyczącym jej wiedzy,

nie ma stałej podstawy i wszystko staje się łań-
cuchem przypuszczeń wyciągniętych w nieskoń-
czoność. Tu przedmiot stwarzać trzeba, a żaden
z tych twórców filozoficznych nie przystał jeszcze
do rzeczywistego świata w tym stopniu, aby go
można co do istotnej prawdy postawić na równi
z dokładnością pozytywnego doświadczenia. Dziś,
kiedy wszystko dąży do prawdy, rozdziera wszel-
kie zasłony, wydobywa się z mgły złudzeń, choć-
by one nawet były piękne lub poetyczne, gdy
oderwane, na tęczowych skrzydłach trzymające
się idee odepchnięto w sferę niepoczytalności
naukowej,—kto wie, czy z całego systemu filo-
zoficznego nie wyjdzie cało jedna tylko psycho-
logia, jako mająca za przedmiot duszę, która
choć sama w sobie niewidzialną jest, ale w naj-
lepszych swych czynnościach sama się zdradza
co chwila? Tak, jest to branka w więzach do-
czesności, która jedna nam powiedzieć coś może
o tem, czego nie ujrzyć nam oczyma, ani nie od-
czuć żadnym innym zmysłem w niedoświadczał-
nej, filozoficznej krainie. Męczą też tę branke,
jak mogą, a ona też mówi, co wie i wiedzieć
może. Gdy więc wszystko dąży do coraz szer-
szego zasobu doświadczeń, popęd do odbierania
wrażeń jest całkiem naturalny, a zatem, ja do-
brze robię, że jadę! Co mi najlepsza książka
powie o urokach górskiej przyrody, póki ja sam
się nie dowiem osobiście, jak się to oddycha
szczytów przezroczytą świeżością, jaki chłód
wieje od huczającej kaskady, jak pachną łąki
w górskich rozstępach zamknięte! Tak, ja mu-
szę lecieć! Naznaczyłem dzień wyjazdu. O świe-
cie odchodził pociąg w daleki świat. Nie mogłem
z radości usnąć tej nocy. Nadedniem otworzy-
łem okno. Niebo było bladawe, od wschodniej
strony błękitnawo-zielone, gwiazdy to tu, to tam
migotały, jak drzące lzy dzieci, co usnęły płac-
ząc; w powietrzu wisiała cisza, pogoda, w pół-
senność, jeszcze żadnego szelestu, wszystko spa-
ło dokoła. Pochyliłem głowę i myśli moje i uczu-
cia kołysały się przez chwilę w tem porannem
mglistem przestworzu. Wtem wielki zegar ra-
tuszuwowy zaczął bić powoli godzinę trzecią. Wsłu-
chiwałem się w jego metaliczne tony, tak mi do-
brze znane od lat tylu. Łzy stanęły mi w oczach;
podniosłem głowę i wpatrzyłem się w wieżę,
z kąd biła godzina; w tej ciszy słuchałem echa
mojej przeszłości i zdawało mi się, że głos da-
leki, cichy, samotny, jak ja w tej chwili, mówi
mi: żegnam cię!

Z pobliskiego ogrodu dolatywał śpiew słowika,
cudowny, melancholijny, słodki, pełen szczęścia
i smutnych przeczuć, śmiechu i łez, uniesień
i łkań; a ja, mimowoli, nie wiedzieć czemu i ko-
mu szepnąłem: „Kocham”. Naraz się rozwidniło;
na wschodzie rozsypały się blaski przedśłoneczne:
to był dzień. Zerwałem się, zbiegłem na dół,
w pół godziny już jechałem, a pociąg pędził, pę-
dził, pędził. Pola zasiane różnymi zbożami, umy-
kały przed oczu, jak kolorowe szachownice, drze-
wa drżały w przelocie, dym kładł się poniżej kole-
jowego nasypu, świst przeszywał ostrą strunę
powietrza; ja stałem przy oknie rozradowany,
że jadę! Mijały miasta i miasteczka; miną-
łem Kraków z jego wieżami, z pękniętym sercem
Zygmuntowskiego dzwonu i bezgwarną ciszą, jak
za bajecznych czasów, i jechałem dalej, dalej,
nie mogąc się nacieszyć pędem, jaki mnie unosił,
tym ruchem lekkim, drżącym, szalonym, a takim
rozumnym! Prędzej, prędzej, szeptałem i zda-
wało mi się, że pociąg przyspiesza bieg swój.
zdawało mi się, że uciekam z kraju milczenia
Wiatr silny szumiał, rozrzucał mi włosy, chłodził
czoło, orzeźwiał; otworzyłem duszę moją na-
oścież i patrzyłem, patrzyłem z zachwyceniem
na wielki boży świat...

(Dalszy ciąg nastąpi).

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— Tyś się w czepcu rodził! — wołał. — Fama
pójdź, żeś Rokosowskiego obciął; to cię już nikt
nie zaczepi, a i to dobre, bo nieustannie się ści-
nać—karczemna rzecz.

Mógł więc potem już swobodnie po obozie krą-
żyć Strzębosz, zabawiać się z młodzieżą, koni
próbować, z łuku strzelać, przypatrywać się lu-
dziom i broni, nie obawiając się zaczepki. Uchodził
za wypróbowanego. Ci, co słyszeli z tego, iż się
doskonale bili, wprawdzie mieli ochotę się z nim
zmierzyć, ale Dyzma był łagodny i rozbrajał się
tem, że sam nigdy do zajścia powodu nie dał.

Dla niego zaś wistocie było się tu czemu przy-
patrzeć, bo różnej broni i z nią obejścia się
w każdym oddziale dosyć było rozmaitości.

Wielu tylko dla stroju łuki i sahadaki ozdob-
ne nosiło jeszcze, choć się niemi nie posługiwali,
drudzy jednak strzelali i tem się chwalili, nie
pogardzając łukami. Słyszał między innymi Po-
gorzelski stary, który ze sobą nie łuk, ale kuszę
woził, i zapas bełtów, a niemi dokazywał tak, że
i kulą nie można było lepiej, ale to tylko za oso-
bliwość służyło, bo do boju w polu kusza się na-
nic nie zdała dla ciężaru i czasu, którego wyma-
gało naciąganie.

Na występ i do stroju wdziewali wojskowi
i tarcze, a niektórzy, co już z Tatarami do czy-
nienia, mieli bawili się rzucaniem arabskich dze-
rytów, oszczepów, którymi Orda cudów dokazywa-
ła. Pistolety i muskiety były też w użyciu stare i
nowe, coraz doskonalsze, które z za granicy
sprowadzano, ale z tych wiele raczej jako cacka
i zabawki okazywano, a w bitwie trudno ich użyć
było. Kopii nawet przeciwko Tatarom i Kozak-
kom, którzy szeregami do bitwy nie szli, używać
nie zawsze było można, i jak pod Zborowem, na
wzozach je pozostawiano.

Dobra szabla, obuch a koncerz były dla żoł-
nierza głównymi—i o to się przedewszystkiem
starano; a gdy kto się do swojej nazwyczał, za
żadne skarby świata-by jej nie oddał. Nie szło
o oprawę i pochwy, bo te najczęściej niepozorne
były, ale głównie o hart. Z taką szablą na-
ówczas szlachcic chodził, jeździł i niemal sypiał,
bo ją kładł albo przy sobie, albo pod poduszkę.

W kilka dni po przybyciu Dębickiego do Lu-
blina, choć człowiek był nie znaczny napozór,
już go tu czuć było. Rozprawiano o takich ewen-
tualnościach, o których wprzód nikt ani myślał;
zapłata wojsku zalegająca, trwanie pospolitego
ruszenia, naostatek główne dowództwo nad
armią całą—zaprzętały umysły.

Znaczniejsza większość trzymała z Jeremim
Wiśniowieckim, który nadzwyczajnie miał szczę-
ście, ale też hetmanem był surowym i rozumnym.
Nikt lepiej Kozactwa, ich sztuki, sposobu wojo-
wania i postępowania nie znał nad niego. Chmiel
drżał, imię jego słysząc, i krwi się jego domagał.
Żołnierze mając go nad sobą, bezpieczni szli, bo
wiedzieli, że dniem i nocą czuwa.

Lecz im więcej się szerzył odgłos tego imienia,
im ono częściej się na ustach wszystkich spoty-
kało, tem między współzawodnikami, hetmanami
i starszyzną budziła się zazdrość większa i nie-
chęć przeciwko niemu.

Samego króla już zawczasu przestrzeżono i tak
usposobiono że gdyby Jeremiu buławę dał—
on sławę jego zaćmi i całe zwycięstwo je-
mu będzie przyznawane. W obozie już teraz je-
dni trzymali za nim i sławili go, drudzy się oba-
wiali i odstręczali, a wszyscy dworacy, którzy
wiedzieli jak Jan Kazimierz sławy był żądny,—
Jeremiego mu strzedz się radzili. Król, też prze-

strzegany, uprzedzony, jak go przy koronacji zaraz zimno zbywał, tak i teraz się sposobił nie dopuszczać do znaczniejszego dowództwa. Wszyscy księcia Dominika Zasławskiego obrońcy i zausznicy podszczywali na niego i jątrzyli. Można już było przewidzieć zawczasu, że się tu wznowi przy lada zręczności kwestya, jeżeli nie buławy, to czynnego nad znaczniejszymi oddziałami dowództwa.

Nawet najznaczniejsi i najdzielniejsi ze starszyzny, ciągle tak słysząc wynoszących i sławiących Jeremiego, jako jedyne go człowieka, który się Kozactwu pożyty nie dawał — krzywili się i dąsali, przeciwiąc temu, żeby on miał być takim, który równego sobie mieć nie mógł.

Ci zaś co niechętni byli królowi, jak Podczaszy Sandomirski, wynosili Jeremiego, sławili Kalinowskiego, wielbili starca już Potockiego, aby Jana Kazimierza tem niezdolniejszym uczynić.

— Gdzież on kiedy wojował i sztuki się tej uczył? — mówiono. — Zamłodu, na pierwszy początek postradał cały swój tabor i sam ledwie życie uniósł, potem w sutannie chodził i w chórze śpiewał, zabawał się i kłócił, ale w polu nie bywał. Takiemu hetmanowi całe wojsko Rzeczypospolitej zdać — choćby mu i radę do boku przystawiono — niech Bóg uchwala. Na zgubę poprowadzić może. Choćby się swojego Przyjemskiego radził — nie nie poradzi.

Strzębosz, mało nie codzień słysząc te rozprawy, jako już począł tak stawał ciągle w obronie Jana Kazimierza, opisując, co sam na swe oczy widział, jak król, troskliwym był o wojsko, jak pracował a zagrzewał, aby się ono zebrało liczne i doborowe, jak na sercu miał naprawę sławy rycerskiej, która pod Pilawcami szwank poniosła. Złośliwi wszystko przedrwiwali, królowej w tem widząc natchnienie i starania. — Nie stanie jej — mówili — zaraz mu ta wielka ochota do wojowania odpadnie.

Słowem: nim się jeszcze siły zebrały, nim w pole wyszły, już spierano się o to, czego jeszcze przewidzieć nie było można.

Po wojsku noszono się z powieściami, które i najstateczniejszych źle usposabiała. Podobała się bardzo historia towarzysza Baranowicza, który, gdy przed rozpuszczeniem na hiberny, wywoływano z registrów każdego, wyjechał też z pistoletami i pstryknął z jednego: — „To za żołd, cośmy go nie otrzymali“ — a z drugiego huknął i strzelił: — „A to za gotowe pieniądze“ — Rozpovídano na zniechęcenie, że za assygnacjami do województwa ziem i powiatów wojsko dotąd nie otrzymało i papierkami się musiało kontentować.

Od Chmielnickiego i Hetmana codzień prawie inne tu przynoszono wieści, ale wszystkie one w jednym się godziły: że śpieszno na pomoc iść było potrzeba Winnicy i Kamieńcowi, na który się Kozacy gotowali, spodziewając się go ubiedz.

Kalinowski tam, jak mówiono, bardzo dzielnie się bronił i zabiegał lecz, przeciwko nierównie większym siłom stawać zmuszony, długo się trzymać nie mógł.

Kamieńca wprawdzie samo położenie broniło, lecz obłężenie, gdyby się przeciągnąć miało, głódby był nie dał wytrzymać a i zdrady zewsząd obawiano się. U Kalinowskiego też w wojsku nieład i burdy powstawały, gdzie pod Winnicą do rabunku wozów własnych przez niesfornych przyszło, a starszyzna w nocy z rozhukanymi ludźmi poradzić sobie nie umiała. Ciszej szeptało, że w wojsku na Ukrainie i Podolu popłoch był taki, iż, nie widząc nieprzyjaciela, gromadami ludzie uchodzili. Kalinowskiemu więc, co najspieszniej na pomoc dążyć należało.

Król i dwór, choć pospieszano wistocie, nie mógł się wybrać, jakby przy takim niebezpieczeństwie nagłym potrzeba było. Nie o Kalinowskiego szło, ani o Kamieniec, w którego moc wierzono, ale o nadanie pochodowi temu króla uroczyści wielkiej i rozgłosu. Stała o to królowa wielce, a przez nią natchniony, król niemal, jak na krucyatę, się wybierał, z obrazem cudownym, z błogosławieństwem stolicy apostołskiej i mieczem poświęconym.

Wszystko to i ducha natchnąć miało w wojsku i wroga przerazić.

Do Lublina ściągali się ci, co królowi towarzyszyć i co go tu żegnać mieli. Strzębosz codzień nowe spotykał twarze znajomych, którzy dwór poprzedzali. Nadjechał też i marszałek Lubomirski, chociaż król mu się zakazał pokazywać na oczy: wnoszono więc, że tu znajdzie przyjaciół i pośredników, którzy zgodę i przebaczenie wyjednają.

Po pierwszych od Kalinowskiego doszłych wiadomościach o wzięciu Jampola, o przejściu pod Winnicę i zamknięciu się w Kamieńcu, nadbiegły późniejsze, iż Chmiel, siły swoje na trzy części rozdzieliwszy, sam szedł wprost przeciwko królowi, drugich pod Konstantynów wyprawiał, a ostatek pod Kamieniec.

Z każdym tedy dniem w obozie się ruch powiększał i przysposobienia do gotowości dopełniały a z niecierpliwością wielką wyglądano przybycia królestwa obojga, o których jednego dnia głoszono, że się do niej sposobili dopiero.

Strzębosz miał dobry czas do nowego dla siebie życia nawyknąć, do czego mu wuj pomagał, umyślnie go narażając na posługi różne, aby się przed pochodem do nich wdroył.

IX.

Po długim oczekiwaniu w ostatku poprzedzający króla stanowiczowie, wozy, służba i przybory do Lublina przybyły, a dosyć pięknego dnia wczesnej wiosny, Jan Kazimierz też sam, chociaż w niezbyt świetnym i licznym orszaku, ale we zbroi i szyszaku, z uroczystością wielką odprawił wjazd do miasta. Za nim królowa jejmość w kolebce sześciu woźnikami białymi ciągniętej, fraucymer też w innych niemniej ozdobnych powozach wprost do kościoła zjechał. Przybyłych nuncyusz papieżki de Torres wraz z licznym duchowieństwem oczekiwali.

Dnia tego jednak oprócz krótkiej modlitwy żadnej ceremonii nie było i dopiero ją na trzeci dzień zapowiedziano; przyczem ogłoszono, że Ojciec Święty, na tę wojnę błogosławiąc króla, poświęcony miecz i szyszak wraz z listem przysłał, królowej zaś, według obyczaju, różę złotą, jaką i matka Jana Kazimierza niegdyś z Rzymu otrzymała.

W orszaku królowej, oprócz jej Francuzek, znajdowała się też niemal sama jedna z pań polskich podkanclerzyna Radziejowska, która chociaż z mężem jechała, wzięto z tego assumpt do wznowienia potwarzy, jakoby nie dla Maryi Ludwiki, ale dla króla podróż tę przedsięwzięła.

Trzeciego dnia, na który po nabożeństwie oddawanie miecza i szyszaka zapowiadano, do kościoła taki natłok się ludu zgromadził od rana, iż straża u drzwi postawić musiano.

Z wojska prawie wszystka starszyzna także zbiegła się, aby się ceremonii przypatrzeć.

Nie widział Lublin od niepamiętnych czasów takiej frenkwency, ani tak świetnych orszaków jak dnia tego... Z podziwieniem też niektórzy dostrzegli, że oprócz innych Lubomirski, od oblicza królewskiego odsadzony, także się znajdował w kościele, gdzie go duchowieństwo szczególnie nuncyusz i gromadka biskupów, osłaniało.

Chociaż starano się to w tajemnicy utrzymać przed królem, że za Lubomirskim silne wstawienie się do niego publicznie zarządzone być miało, tak, iż odmowa stawała się prawie niepodobieństwem, Radziejowski, który rad wszystko psuł a do Lubomirskiego szczególnego nabożeństwa nie miał, dawszy królowej słowo, że nie zdradzi, umyślnie o tem Jana Kazimierza uprzedził. Może gdyby to kto inny uczynił, zapobiegłby zagniewany a chcący surowość okazać wielką; Kazimierz go do siebie przypuścił, lecz sprawę zbył milczeniem i uczynił jakby o niczem nie wiedział.

Oddawanie miecza przy przemówieniu i odczytaniu listu papieżkiego, potem wręczenie róży poświęconej Maryi Ludwice, trwało bardzo dłu-

go, bo i odpowiadać a dziękować w imieniu obdarzonych musieli naznaczeni oratorowie, naostatkiem nuncyusz wraz z tymi, co go otaczali, doprowadziwszy winowajcę Lubomirskiego, który przed królem przyklęknął, poczęli go suplikować i prosić, aby mu przebaczyć raczył winę.

Wszystkich oczy zwróciły się naówczas na króla, który pobladł, postawę przybrał wielce poważną i surową, a zrazu cofnąwszy się — odrzucił prośby, okazując, że przeciwko prawu i majestatowi trybunału wykroczenia darować nie może. Za czem ponownie z usilnością wielką nuncyusz, kanclerz Leszczyński i co tylko było senatorów, otoczyli króla, oblegli, a królowa też przystąpiła łącząc swoje pośrednictwo, tak, że Jan Kazimierz przed ołtarzem i krzyżem stojąc, na Chrystusa, który przebaczył oprawcom swoim, zaklęty, dłużej opierać się mógł.

Zamruczał tylko król, iż pewne warunki przebaczenia nałożyć musi, i tak to przytowane staraniem Radziwiłła kanclerza szczególnie przejednanie, (który u duchowieństwa miał dla pobożności swej zachowanie wielkie), przyszło do skutku.

Nie mniej za porywczosć swą i nieposzanowanie sądu Lubomirski drogą zapłacić musiał, bo nielicząc tego, co Instygatorowi Dawidowi Żyd-kiewiczowi wyliczył, w sprawie samej folgować musiał i w łasce u króla niepowetowaną poniósł szkodę.

Strzębosz, tego dnia z łatwością się zwolniwszy ze swych obozowych obowiązków, natychmiast pobiegł do przyjaciół i znajomych, do dworu i do chorągwi królewskiej, w której wielu z towarzyszków jego zapisanych było, aby upragnionego dostać języka, czyli co nowego nie zaszło.

Tyzenhauz, który na służbie swej przy osobie króla pozostał, a był z nim dobrze, najlepiej mógł go objaśnić, jako też chętnie się dał zaprosić i co zaszło od wyjazdu z Warszawy, opowiedział.

Miał on na oku szczególnie podkanclerzego, i o nim wiedział najwięcej, ale też główny interes skupiał się około niego, bo on zawczasu snuł to, co całej wyprawie, wojnie i zwycięztwom koniec położyć miało.

Wiedział też Tyzenhauz, na dworze Radziejowskiego mając życzliwą młodzież, iż zaledwie do Lublina przybywszy, podkanclerzy, natychmiast się na długą i wielce ożywioną naradę zamknął z podczaszym Dębickim.

Zgoda pozorna Radziejowskiego z żoną, jak Tyzenhauz utrzymywał, była podstępem i zdradą, a namówienie jej na podróż miało też cel jakiś tajemny, którego, chociaż nie odgadawał, istnienia się jego domyślał.

W czasie całej podróży do Lublina zachowanie się Radziejowskiego uderzającym było, bo on sam głównie Maryi Ludwiki się trzymał, przy niej ciągle jechał, jej służył, królowi tylko wówczas się uprzykrzając, gdy wiedział, że mu najnieznośniejszym będzie. Podkanclerzyna zaś, której zwykle tak zazdrośnie doglądał, wszystkim do niej broniąc i utrudniając przystępu, jechała teraz zostawiona sama sobie, tak, że i król mógł swobodnie się zbliżyć do niej i ci, coby między nim a nią pośredniczyć chcieli.

Unikała jednak widocznie podkanclerzyna wszystkiego, coby na nią i na króla podejrzenie jakieś ściągnąć mogło.

A król wcale się do niej zbliżać nie usiłował, i ledwie że nie unikał, już-to dla królowej, już dla dworu, naostatkiem i z powodu Radziejowskiego, którego postępowanie było dla niego niezrozumiałem i podejrzanem.

Ze wszystkich tu przybyłych i przebywających osób Marya Ludwika była pewnie najszczęśliwszą i po niej poznać było można, iż dopięła czego pragnęła, a o przyszłość była spokojną. Mogła sobie powiedzieć, że podbiła Polskę i panowała nad nią. Król rozkazał jej i skinień słuchał, bardzo rzadko próbując się wyzwolić, a nigdy nie mogąc tego dokazać.

Z wielkim taktem, Marya Ludwika, gdy wybuchał zbyt gwałtownie, dawała przejść pierwszemu impetowi, czekała, łagodziła, a że prędko się nużył, nawracała go potem według swej woli. Zuali to już i wiedzieli o tem wszyscy.

Wojna, która króla sławą okryć miała, była w większej części jej dziełem, a tak ją obchodziła, że gotowa była nawet towarzyszyć królowi, będąc pewną, że żadne nie mogło zagrozić jej ani jemu niebezpieczeństwo.

Jan Kazimierz nie sprzeciwiał się dotąd tej fantazyi, chociaż wydawała mu się ona dziwną. Senatorowie i hetmanowie nie taili się z tem, że podróż królowej podobać się im nie mogła. W ich przekonaniu niewiasty, chociażby królowe, tam, gdzie się krew przelewać miała, bez obrazy niewieściego uczucia znajdować się nie mogły, a wcale potrzebnymi nie były, bo raczej zmiekczyć niż serca dodać umiały. Szemrano na tę fantazyę, niemal powadze wyprawy ujmującą. Królowi, nie śmiano mówić o tem, lecz kanclerze biskupi i przybývający senatorowie—wszyscy zgodnie postanowili dalszą podróż odradzać i królową namówić do powrotu do Warszawy, gdzieby z prymasem sprawami bieżącymi mogła się zajmować.

Król, jak w niczem, tak i w tem, nie chciał się zonie sprzeciwiać.

Po uroczystości oddania miecza i szyszaka poświęconego w kościele i przebaczeniu Lubomirskiemu danem, król natychmiast i z niezwykłą sobie żwawością zajął się przeglądaniem wojsk, które tu znalazł. Po rannem nabożeństwie, chociaż dnie niezawsze bywały piękne, a słoty i zimno przeciągały, po całych dniach czasami stał na koniu, lustrując przeciągające regimenty, i rozpytując o nie. Otaczał się też samymi prawie wojskowymi, a o niczem więcej nie mówi, jeno o sprawach wojennych.

Ztąd już na wszystkie strony, co było ludzi do tego zdalnych, wyprawiano na zwiady, po języka aż ku Konstantynowu, Winnicy, Kamieńcowi i ciągle też którzyś z panów odbierał mniej więcej pewne wiadomości, a te natychmiast przynoszono królowi, który je na radzie roztrząsał i sprawdzał.

Królowa tymczasem zabawiła się, objeżdżając kościoły, słuchając nabożeństwa lub u siebie przyjmując napływających gości. Na tych jej nie zbywało nigdy, gdyż i czasu wojny ludzie umierali, wakanse się otwierały a niemi ona rozporządzała.

Wszyscy jednak odwiedzający królową, jakby się na to zmówili, o dalszej podróży mówiąc, zgodnie ją prawie za niemożliwą, wielce utrudniającą a niebezpieczną ukazywali.

Szczególniej Kozactwa napaści niespodziane, które w dalszym pochodzie dnia i noce spoczynku nie dopuszczały, wystawiano jako groźne, a dla kobiet równie, jak dla wojskowego dworu króla, utrudniające i niebezpieczne.

Marya Ludwika na to nie odpowiadała, albo w śmiech obracała postrachy.

W jej pojęciu pospolite ruszenie takie, przy wojsku komputowem, i cudzoziemskich zaciągach, powinno było być tryumfalnym pochodem.

Pamiętała ona obyczaje Francyi, gdzie bardzo często królowe na wyprawę monarchom towarzyszyły, ale na to odpowiadali znający oba kraje, iż w Polsce, szczególnie na kresach, nawet czasu pokoju podróże łatwe, ani przyjemne nie były; cóż dopiero czasu wojny!

Sama ona podróż swoją pierwszą, po koronacyi z Władysławem IV odbyła, przypominając, łatwo mogła uwierzyć przestrogom, lecz zarazem nadto ponęt miała ta świetna wyprawa, aby się łatwo od niej odwieść dała.

Marszczyła się, słuchając tych groźnych opowiadań, a najczęściej je przerywała inaczej zwracając rozmowę.

W końcu jednak musiała powtarzającym się ze wszech stron głosem dać mimowoli ucha.

Radziejowski grał w tem jakąś niejasno oznaczoną rolę. Nie sprzeciwiał się królowej, nie namawiał jej też, nie zniechęcał, zdawał się więcej badać, niż stanowczą myślą kierować.

W jednym tylko stale trwał: to w sposobie wyrażania się o królu, gdy sam na sam był z Maryą Ludwiką. Nie wydawał się ze swą niechęcią ku niemu, ani z tem, że żal mógł mieć jakiś do niego, lecz nieustannie krytykował czynności, okazywał niezręczne postępowanie i dawał to czuć, że gdy nie stanie opieki i rozumu

zony, Jan Kazimierz da się lada komu zawładnąć i cała ta wielkich nadziei wyprawa na niczem spełznąć musi.

Nadto pochlebiali to Maryi Ludwice, aby mogła stawać w obronie męża, którego zresztą najlepiej znała i wiedziała, jak mu było trudno na jednej wysokości utrzymać się długo.

Teraz jednakże wistocie ją nawet król zadziwiał, tak brał do serca swe obowiązki i gorliwie je pełnił, nieokazując najmniejszego znużenia i wyczerpania.

Podkanclerzy całe dnie na dworze to przy królu spędzając, to u królowej, napozór im oddany, wieczorami się schodził z Dębickim, który podobnych sobie sprowadzał, i późno w noc układano plany, jakby z tego wszystkiego skorzystać, wodę też zamącić i ster opanować.

Wydawało się to tem łatwiejszem, iż król wistocie nikogo nie miał przy sobie, któryby mu mógł być radą zdrową i sumienną. Poróżnienie się z Lubomirskim, na wół tylko złagodzone, odpychało od niego kanclerza Radziwiłła; nie miał Ossolińskiego, jak przedtem; z duchownych żaden wyższością umysłu nie mógł zapanować nad nim.

Właśnie taką rolę przeważną, jak odegrywał długo kanclerz Ossoliński, marzył może dla siebie Radziejowski.

Król mu się wydawał słabym, a królową usiłował natchnąć dla siebie zaufaniem i stać się jej niezbędnym.

Na wieczornych tych przy winie obradach z Dębickim i kilku zausznikami, mającymi im na dworze i w wojsku służyć za narzędzia. Radziejowski otwarcie i z lekceważeniem mówił o przyszłości, jakby ją już miał w ręku.

— Wierście mi, ja na niego codzien patrzę—mówił Radziejowski—król czem był od początku, tem podziśdzien pozostał—człowiekiem małej głowy a żadnego charakteru. Zapal w nim sztucznie wzniecony przez żonę, nie potrwa, bo w nim nie trwa nic, nigdy długo. Ona, choć przebiegła niewiasta—ale kobietą jest i powodować się daje. Niema nikogo, coby w Rzeczypospolitej to stanowisko zajął, jak swojego czasu, naprzykład, Zamoyski. Otwarcie powiadam, ono się mnie należy i ja je zdobyć muszę.

— Powinieneś—wołał Dębicki—jest-to twój obowiązek względem tej Rzeczypospolitej. Pół drogi już zrobieś.

— Więcej niż połowę—przerwał Radziejowski—sądzę, że ta wyprawa mi da cel osiągnąć. Ja wszystko z góry przewidziałem... króla z królową poróżnić potrzeba... wojsko, a szczególniejsze pospolite ruszenie do niego zniechęcić.

Nie lubi mnie; ja to wiem—śmiał się podkanclerzy—ale znosić będzie musiał, bo się nie obejdzie. Naówczas ja moje warunki mu podyktuję... z królową zawładnę wszystkiem, a zostawię go z małpami.

Zausznicy zwykle dokładali, że król wogóle miłości i popularności nie miał. Malowali sobie ci spiskujący wszystko w jaknajświetniejszych barwach dla siebie.

Podkanclerzyna, która królowej—jak się to nazywało—towarzyszyła i zajmowała pewne miejsce w jej orszaku, w istocie żyła dosyć samotną.

Królowa do niej nie zbliżała się wcale... była zazdrosną oddawna; inne panie znajdowały ją dumną, a posądzając też że Janowi Kazimierzowi miłą była, z niechęcią patrzyły na nią, przypisując jej, że dawniej bardzo dla pięknych twarzyczek nadszakujący i pełen galanteryi król, tery, król teraz się okazywał całkiem obojętnym.

Nie miała więc czasem podkanclerzyna długimi godzinami przemówić do kogo i znużona powracała do domu. Tu męża zastawała rzadko, a gdy przychodził, to tylko, aby się prześmiewał z niej dopytując, czy z króla była kontenta, czy miała sposobność widzieć się z nim na osobności?

Otoczoną była przez niego takim niewidzialnym tłumem szpiegów, że o każdym kroku jej donosili.

Przychodziło więc do zwawych sprzeczek co wieczora, a podkanclerzyna była żywą i niecierpliwą, więc niekiedy gwałtownie się one koń-

czyły wyrzutami. Nigdy jednak Radziejowski nie dopuścił do ostateczności i nazajutrz, jakby zapomniał waśni—witał żonę pół grzecznie, na pół szydersko.

W oboju to pożycie coraz większy wstręt budziło; podkanclerzyna płakała i mówiła sobie, że z mężem tym nie wytrwa, że ostatecznie musi go porzucić i rozdzielić się.

Postanowienie to powzięła już czasu podróży, ale się z niem nikomu nie zwierzała. Doprowadzenie do skutku, nawet przy największej energii i przy czynnej pomocy rodziny, związane było z tysiącem trudności.

Chcąc się rozstać z podkanclerzem, jejmość musiała porzucić ten wspaniały pałac swój, pełen skarbów, i na łup go mu zostawić, mógł też zawładnąć dobrami—była w jego mocy.

Rozmyślała nad tem nieszczęśliwa Radziejowska, gdy dnia jednego królowa, ona, wszystkie damy, wyżsi urzędnicy, dwór, zostali zaproszeni na *collezione*, którą nuncyusz wydawał w refektarzu księży Dominikanów, *ad hoc* przystrojonym.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DAWNI I NOWOCZEŚNI.

Anciens et Modernes, parl Paul de H. Victor—Paryż 1886.

Najnowsze dzieło pośmiertne wielce oryginalnego i znakomitego pisarza Pawła de St. Victor, jest jakby dalszym ciągiem napisanego owiele lat dawniej, bo w r. 1868, które p. t. *Bogowie i ludzie*, rozeszło się w przekładzie na wszystkie języki, a między innymi i na polski (w *Kłosach* z r. 1869).

Paweł de St. Victor, dziś już nieżyjący, uważany był w ojczyźnie swojej za jednego z najwytworniejszych pisarzy. Przyznawano mu oprócz wielkiego bogactwa języka, jeszcze dar widzenia wszystkiego w kolorze i świetle, a przytem jednak ukazywania przedmiotu takim zawsze, jakim jest. St. Victor nie był artystą, czerzył formę, nie posługiwał się frazesem dla samego frazesu, lecz, przeciwnie, docierał do dna rzeczy na podstawie wiedzy zdobytej przez gruntowne studia. Istotnie, kto tylko przeczyta jedno z jego *essais* historycznych lub krytycznych, w których tak celuje, ten nie może się oprzeć dziwnemu urokowi, pochodzącemu ztąd, że St. Victor wyobraźnią swą wskrzesza historię i ożywia krytykę. Styl jego olśniewający i błyszczący tysiącem ogni wywołał niegdys orzeczenie Lamartine'a: „Ilekroć czytam Saint-Victora, czuję się wygasłym i zbladłym”—a ktoś znowu inny dowcipnym paradoxem tak go określił: „Jest to Don Zuan frazesu, człowiek, który miał najwięcej *bonnes fortunes* stylowych, nie licząc już jego *bonnes fortunes* myślowych.”

Styl jego rzeczywiście wyrzeźbiony, wykonczony—może zanadto, łączy nader kunsztownie metafory jedne z drugimi; obrazy jego mienią się brylantowemi ogniami różnych barw. Pióro podobniejsze jest do pendzla kolorystów, niż do *stylus* Starożytnych—a pendzel-to, według nas, ponurej szkoły hiszpańskiej lub neapolitańskiej, Velasqueza lub Ribeiry.

Taki przepych barw i światła pochodzi zapewne ztąd, że, wychowany w Rzymie, zasmakowawszy raz w sztukach pięknych, w opracowywaniu form myśli nie szczędził żadnej ofiary, aby smak ten jeszcze rozwinąć. Chcąc studyować wielkich mistrzów pendzla na miejscu, podróżował długo po Włoszech, Hiszpanii i Niemczech.

Dzieło, o którym mówimy, p. t. *Dawniejsi i Nowocześni*, jest księgą o 580 stronicach, zawierającą szereg wspaniałych konterfektów psychologicznych z powszechnej historii sztuki, literatury, polityki. Postacie, które autor wskrzesza z cieniów przeszłości, stają przed oczyma czytelnika tak żywo, plastycznie i wybitnie, iż potrzeba bezwarunkowo uwierzyć, że tak a nie inaczej,

wprawdzie życia swego wyglądały. Nikt z większą od niego plastycznością (nie wyłączając Renana), nie pisał o Marku Aureliusz (w dawniejszych studyach), z większą grozą o Attyli i z większą pogardą o wszystkich wielkich zbrodniarzach w historii. Umie on kilku pociągami pędzić scharakteryzować dosadnie epokę, a postacie rzucające na tło oświeca blaskiem pełnym siły, wnikającym głęboko i nadługo w pamięć i wyobraźnię. Przy tych niepospolitych zaletach artystycznych i krytycznych jest wszakże poważnym historykiem i myślicielem, a gdyby szukać pokrewnego mu w sposobie pisarskim, to najbardziej zbliżony jest do niego Michelet.

I.

Mirabeau ojciec.

Godną postacią wskrzeszenia, w wyniosłej oryginalności i dziwactwie, jest ten tyran domowy, twardszy od *pater familias* starej Romy z czasów Dwunastu Tablic, absolutniejszy w swym domu od burgrafa na zamczysku: feudalny, gotycki a filantropijny zabytek z XV i z XVIII wieku,—*przyjaciel ludzi* i wróg swych blizkich wsteczniak i humanitarny, a przytem głoszący postęp z wyżyn swej baszty zamkowej. Nadto jest on znakomitym pisarzem o stylu ponurym i zakłamanym, o wyrażeniach, które biją czytelnika po łbie. Słowo jego jest tu jak krzyk straszliwy...

Niechęć, jaką żywi do syna, objawia zaraz przy jego urodzeniu. „Twój synowiec brzydki jest jak dziecię szatana—pisze do swego brata—mały potwór, o którym mówią, że jest moim synem.“ Zaledwo dzieciak odstawiony od piersi już mu ciąży. „Gdy nauczyciel jego umrze, ja ciągnąć będę mego syna u pasa; nie wiedząc, w którą rzekę go wrzucić.“

Kilka lat upływa, a ojciec patrzy z trwogą na wzrost swego potwora, nie wie czy jest ojcem tygrysa, czy późno-urodzonego. „Ponieważ bardzo podobny do poliszynella, bo cały jest w brzuachu i plecach, więc zdaje mi się zdolnym na żółwia, poddaje też swą skorupę i daje się bić.“ Dziecko w miarę wzrostu przestrasza coraz więcej ojca, który go obraca na wszystkie strony nie wiedząc czy go ma błogosławić, czy przeklinać. W jednym liście syn jego ma „serce dumne pod sukienką smarkacza, ma dziwny instykt pychy, ale szlachetny. Jest to embryon rozczochranego matamora, który chciałby pokonać świat cały, nie mając jeszcze dwunastu lat.“ W pięć dni potem, staje się on „typem niesłuchanie głębokim podłości, płaszczenia się i rodzajem gąsienicy zabloconej, która nigdy nie wylezie ze swej powłoki.“ Gdzieindziej krzyczy wściekle: „Gnój tkwi w tej rasie!“

Nienawiść wnet wybucha, instynktywna i niepowściągniona. Margrabia Mirabeau jest wynaturzony, urodził się można rzec: *ojozymem*.

Dziecię staje się młodzieńcem; pierwsze jego wybryki powstrzymuje ojciec biczem i przycinającą pedagogią; syn wchodzi do pułku margrabiego Lamberta. Przegrywa tam 40 ludwików i ucieka do Paryża. Tu się zaczyna *prześladowanie* ze strony ojca, *prześladowanie* Diokleciańskie, gwałtowne, zawzięte, którego systemat polega na przerabianiu wybryków w zbrodnie, grzeszków w występki, miłostek w potworne grzechy babilońskie. Ojciec patrzy przez jakiś mikroskop moralny excentrycznie zwiększony na błędy swego syna. Drakon musiał tak samo wychowywać swe dzieci.

Więzienie tylko mogło zgładzić ów dług z kart który wywołałby uśmiech na ustach wujaszka z komedyi. Więzienie ma się odtąd stać *idée fixe* względem syna. Nieustannem zajęciem margrabiego będzie trzymanie syna wśród czterech ścian...

Młody Mirabeau, zamknięty w cytadelli na wyspie Ré, wychodzi ztamtąd w celu odbycia kampanii korsykańskiej. Z głębi swego zamku posyła za nim stary margrabia przepowiednie najgorsze. Tymczasem młody officer odznacza

się zaszczytnie talentami swemi i zapalem, zyskuje szacunek swych zwierzchników i towarzyszy. Powróciwszy do Francji bawi czas jakiś u swego stryja, którego zdołał oczarować pomimo, że jest on tak surowym, jak ojciec „Strzeż się—pisze doń margrabia—złoconego jego dzióbka... Niech pozyska sobie swego stryja, dobrze, ale nie pozyska tak łatwo swego ojca.“

„Twój synowiec Huragan“ — pisze znów innym razem. — „Twój syn Burza“ — odpisuje mu tamten. Nie myśleli obaj, że tak dobrze napiszą, nie przypuszczali, że ta burza domowa pociągnie niedługo świat za sobą.

Stary margrabia, mający czysto styl proroków, miewa niekiedy widzenia. Syn jego, odzyskawszy na czas jakiś jego łaskę, zadziwia go i drażni. Przeczuwa on coś, wietrzy w tej grozie niespokojnej „tak jak korzeń czuje wstrząśnienie liści“ Podziw jego przemienia się w uwielbienie. „Trudno widzieć łotra, któryby miał więcej odeń talentu i czynu w głowie; dałby sobie radę z dyabłem.“ „Co, do licha, zrobić z tą bujnością umysłu i krwi?!“

W kilka miesięcy potem znajduje się, on, który nigdy nie chciał się *enversailer* u dworu, aby przedstawić syna swego a ten syn może zadziwić swego ojca — „tych nawet, którzy spleśnieli w Wersalu, przez swą straszliwą poufałość i sposób obracania wielkimi panami, jak wiązką drzew.“ Ojciec opowiada z pewną pychą o pani de Durfort, która wyraziła się, że „zmaćliby powagę wszystkich dworów istniejących i przyszłych“ — i dodaje z największą dumą: „Ponieważ od pięciuset lat znoszono zawsze Mirabeau'ów takimi, jakimi są, czyż nie zniosą i tego jeszcze, który, ręczę, że nie skazi nazwiska.“

Ale to pogodzenie się jest tylko zawieszeniem broni. Mirabeau zeni się z dziedziczką bogatą w przyszłości, lecz teraz ubogą, otrzymując od ojca pensyją śmiesznie małą... Skąpstwo należało do rysów wybitnych tego patriarchy, skąpstwo zacięte, arabskie. Syn zadłuża się, nie mogąc sobie poradzić; ojciec otrzymuje przeciw niemu rozkaz uwięzienia na wysepce Manosque. Jakiś pan de Moans ubliża jego siostrze na spacerze, Mirabeau batoży go, bo tamten pojedynkować się nie chce, a stary margrabia, zamiast uściskać swego syna—jak to uczynił don Diego z Cydem, wtrąca go do więzienia w zamku If, ażeby go ukarać za pomszczenie honoru swej siostry. Wówczas to dzika jego monomania objawia się w całej pełni, bo marzy tylko o ryglach więziennych. Nawet bratu margrabiego wydaje się to zbyt ostrem. „Gdyby zamykano wszystkich młodzińców zadłużonych — pisze do margrabiego — widzianoby tylko smarkaczy na ulicach.“ Otrzymuje w odpowiedzi ten epitaf: „Bądź pewny, że skończy on niedługo w najwygodniejszym odosobnieniu więziennem, co będzie dla mnie prawdziwie dobrą przysługą.“

Z zamku If przeniesiono Mirabeau do małego miasta Pontarlier. Tu spotkał się z Zofią de Monnier, poślubioną w 17 roku życia 70-letniemu starcowi. Z miłości ku niej, wpada w cały labirynt awantur miłosnych, wykradzeń i ucieczek, aż nareszcie umyka z nią do Amsterdamu. Wina była ciężką, bezwątpienia, chociaż zlagodzoną przez okoliczności, a uszlachetnioną przez prawdziwą i wielką miłość. Lecz co powiedzieć o ojcu, który płaci i podzega, ażeby tylko zbiegów ścigano? Kaleta jego, niedostępna dla syna, otwiera się dla siepaczy; płaci, krzywiąc się jak Harpagon, ale płaci obficie za szpiegowstwo i pościg. „Otrzymałem wczoraj wiadomość—pisze—że zbrodniarz już w kajdanach. Dzielnego de Brugnières wywiązał się z zadania jak na tegiego policyanta przystoi. Do mnie teraz należy wysunąć się jak arlekin, z następstw placenia...“

Odtąd wściekłość jego wzrasta, życzy otwarcie śmierci swemu synowi, a przynajmniej radby go zagrzebać w jakiej celi. „Plan mój jasno ustalony; tylko władza i ja wiemy, gdzie on siedzieć będzie, tak, że aż po mojej śmierci z listu zapieczetowanego dowie się o tem mój następcą.“

Nic wymowniejszego, nad jego okrucieństwo; przybiera ono rysy wspaniałe pod draperją rzymską, w którą się stroi. Dziki ten ojciec mówi i drwi, jak najdumniejszy stary Korneille'a:

„Wiem, że jestem, według zdania ludzi, Neronem mego wieku, że kobiety chcą ze mną postąpić, jak z Orfeuszem, a adwokaci, jak z Romulusem lecz co mnie to obchodzi? Gdybym był czuły na dotknięcia, dawno byłbym już umarł. Co znaczy, że usiłują mnie rozdrzeć w mej zbroi honorowej, dziś już za twardej i zanadto zagrożonej, ażeby ją podobne ciosy doścignąć mogły.“

Tymczasem Mirabeau, zamknięty w Vincennes, siedzi tam 42 miesiące, oddany na pastwę wszystkim demonom gwałtownym, które nosi w sobie, trawiąc się tam z żalu, wściekłości i ze wspomnień, pisząc do Zofii listy palące a do ojca swego apologetyki, prośby i skargi, któreby zmieściły nie tylko Radamanta, ale Furycy i Cerbera. Geniusz jego oratorski ćwiczy się już tu w tych obronach domowych, zbiera się i fermentuje, ażeby wytrysnąć później w wielkich płomieniach.

Atoli starzec nie czuły nie słucha nawet jęków więźnia. „Śmieję się z tego“—woła, gdy się litują wokół niego nad nieszczęściami syna. Rozumowania nie przekonują go, a lzy spływają jak woda po tej zakamieniałej duszy. „Uczyłem sprawiedliwość na mocy trybunału naturalnego i domowego i choćbym widział matkę swą na rusztowaniu, a syna na placu stracenia, niemniej dumnie nosić będę głowę.“ Władza się już w to wdaje, policya nawet sądzi, że ten ojciec zanadto posługuje się więzieniem. Uprzedza go, że syn, podległy krwotokom i cierpiący na kamień, blizkim jest śmierci, na co ojciec odpowiada sarkazmem. Dopiero wydobywa go z Vincennes, gdy ma nadzieję połączenia go nanowo z żoną. Umarł bowiem wnuk, więc starzec przeląkł się, że rasa jego wygaśnie.

Nieprzyjaźń ojcowska trwa jednak dalej, dziwnie poplątana z uwielbieniem.

Jedynym usprawiedliwieniem ojca, byłoby twierdzenie, że miał przecucie swego syna, że przewidywał, iż ta odrośl jego stanie się grzmiącym trybunem Nowego Wieku Świata. Feodalność, wielona w ojca, cofała się przed Rewolucją, którą wydała na świat w dobie syna. Czasami zastanawia się nad nim błyskami proroczymi: „Co się tyczy mieszkańca Vincennes, niezależnie od spełnionych przezeń zbrodni odznacza się on takim mózgiem, że gdyby nawet nic nie uczynił złego, jeszczeby go trzeba uwięzić.“ Innym razem, woła, jakgdyby w natchnieniu: „Wiek ludzi jego miary, przybliży się już wielkim pędem. Niema dziś jednego łona matki, któreby nie kryło w sobie Artevelda lub Masaniella.“

Czasami znów umysł tyrana dziwnie się zasepia. Wtedy syn jego staje się: „wyrodkiem, istotą rozbitą, sroką dowcipnisiów, sójką przedmieściową, cieniem.“

„Jestto Ixyon łączący się z obłokiem: wrzawa, wiatr, jestto nic.“ Tak, Ixyon, ale trzymający obłok w objęciach... i wykradający mu piorun, którym uderzył!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Oile dało się zgromadzić ważniejszych faktów muzycznych z kończącego się wiosennego sezonu, podajemy to naszym czytelnikom w szczupłej wiadomości, która będzie musiała im wystarczyć aż do powakacyjnej epoki. W upalnej porze nie odważą się wabić do siebie żadne koncerty. Towarzystwo Muzyczne zawiesza natenczas swą działalność, zagraniczni artyści nie nawiedzają opuszczonej Warszawy — będziemy musieli zadawalniać się orkiestrą w Dolinie lub innych ogródkach, i niefortunnie po większej części debiutami młodych śpiewaków w Lenin Teatrze, nietylko żądając od muzyki wzniosłych wrażeń, ile dywersyi podczas miłego wytchnienia na świeżem powietrzu; *dulce* weźmie przewagę ponad *utile*, a zatem i sprawozdawca muzyczny, jako przedstawiciel owego *utile*, stanie się niepotrzebnym.

Teraz jednak zwróćmy się ku najbliższej przeszłości.

Występ gościnny panny I. Broch, wiedeńskiej primadonny, wywołał na scenę naszą dawno niesłyszana „Lunaticzkę“ Belliniego. Pomimo niezaprzeczonej piękności tej opery jest to po części idealna tkanina złożona z passazy, tryłów, fioritur nagromadzonych dla popisu; ma też tu koloraturowa śpiewaczka znakomite pole do ujawnienia giętkości techniki swojego głosu; lecz aby owe fioritury obudziły zachwyt, potrzeba ażeby oddająca je artystka, oprócz umiejętności posiadała w swej piersi zasób naturalnych słowicznych dźwięków. Głos p. Broch niekoniecznie odpowiada temu ostatniemu warunkowi, i przyznajemy z całą szczerością, że nas nie zachwycił; w niższym rejestrze brzmi nieco matowo, bezbarwnie, w wyższych zaś przybiera zupełnie charakter falsetu, nie ma bowiem owego równego przejścia z tonów niskich do wysokich, które powinno czynić głos jednolitym i pełnym; ostre przerzucanie się w dwa jakoby oddzielne brzmienia, ciągle wybitna zmiana stroików głosowych, nie może się nazwać pięknym śpiewem, jakkolwiek czystość, finezya w wykonaniu, ogromne koloraturowe wyrobienie nic nie pozostawiają do życzenia. — Drugą po pannie Broch nowością dla Warszawy były występy panny Madge Wickham Amerykanki, otoczone urokiem, jaki zwykle młodość i wdzięk wywiera.

Na występie jej w Towarzystwie Muzycznym, sala była przepelniona i nie szczędzono oklasków pięknej wiolinistce, która posiada sporo techniki, oraz pewne zacięcie artystyczne i brawurę. Co innego jednak chwilowy zapal słuchacza, a co innego sucha, z chłodnym rozmysłem kresłona relacya muzyczna; pomimo więc entuzjazmu, jaki budziła p. Wickham w Towarzystwie Muz., my, wspominając jej występ, musimy bez ogródki wyznać, że do wyżyn artystyki jeszcze daleką ma przed sobą drogę. Przedewszystkiem nie mogliśmy w jej grze dopatrzeć uczucia, które tak silnym strumieniem płynię pod smyczką równie młodej Teresiny Tui; przy braku uczucia nie może być też mowy o poezji, o przełaniu w wykonywane dzieła natchnień indywidualnych, świeżych. Przyznajemy wielką czystość gry, śmiały rzut smyczką i dowcip nawet zalotny w wykonaniu fraz muzycznych, lecz z jednej strony brak śpiewności, z drugiej, brak powagi klasycznej stawia nas w kłopotcie: do jakiej szboły zaliczyć p. Wickham.

Występujący w tym samym koncercie p. Korostaszewski, baryton, wykazał nader sympatyczny głos o rozległej skali, ujęty w karby wcale niezłej metody, której małe niedobory zapewne jeszcze usunie przy dalszych sumiennych studyach. Resztę muzycznego programu wypełniła panna Machwitzówna, zbyt już znana i ceniona artystka, by wypadało przypominać czytelnikom przymioty jej śpiewu; dalej p. Czernicki i chór Towarzystwa Muzycznego, który wykonał „Wędrownego Grajka“ p. Z. Noskowskiego, utwór zaprodukowany poraz pierwszy na koncercie beneficjnym kompozytora. Jest to suita mazurków, pełnych sielskiego wdzięku i poezji, trzymanych w charakterze rodzimej nawskroś nuty i wybornie zastosowanych do wdzięcznego tekstu, co właśnie stanowi jeden z największych przymiotów pieśni. W tym samym beneficjum wieczorne p. Noskowskiego przyjęły udział oprócz chorów: młoda, utalentowana śpiewaczka p. Pilcówna, p. Dobiecka i Łazarewiczówna, p. Zawadzki, oraz orkiestra amatorska.

Nader sympatycznym był koncert na dochód p. Wł. Plocera, ociemniałego, urządzony staraniem p. Z. Noskowskiego. Mielśmy nowy a piękny dowód, że publiczność nasza, zarówno jak i artyści, skłonni są zawsze do ofiarności wobec szlachetnych celów. Znakomity nasz fortepianista p. Michałowski był główną tego koncertu atrakcją, a oklaski, których mu słuchacze nie szczędzili, były nietylko wyrazem uwielbienia dla jego talentu, lecz i uznaniem zacności serca, które ohochnie na pomoc niedoli pospieszca. Chór Towarzystwa Muzycznego wykonał wyjątki z „Witold-raudy“ Moniuszki i ową Suitę Mazurków p. Noskowskiego.

Słyszeliśmy w Wielkim Teatrze operetkę komiczną „Rabusi“, która, o ile wiemy, cieszy się w Wiedniu długoletniemi powodzeniami; u nas jednak dość chłodnego doznała przyjęcia — i słusznie. Libretto przerobione z komedji Kotzebuego, z sytuacyami zbyt nakręcanemi a mimo to pospolitemi, nie zadawała dzisiejszych żądań. Muzyka zaś, mimo zręczności faktury, nie ma w sobie nic oryginalnego. Twórca jej, Lortzing, nie zdobył sobie rozgłosnej sławy, chociaż się wzorował na mistrzu takim, jak Mozart. Produkcye jego, przyznać trzeba, tchną pewną lekkością, dowcipem w niektórych scenach, (Akt II: chór służących, i kwartet w sali bilardowej pp. Myszuga, Chodakowski, Koziaradzi i p. Dobiecka), lecz nie mają twórczości w pomysłach; jest to zlepek, która co chwila przypomina różne cudze temata, dla tego nie sposób, by taki „Rabusi“ wyrobił sobie prawo trwałego istnienia w rzędzie zajmujących oper komicznych.

W Wielkim Teatrze, również jako nowa atrakcyja, wystąpił i dotąd występuje p. Reverta, tenor, jak wieści głoszą. Włoch — tak mało jednak pociągających przymiotów jako śpiewak i aktor, że, słysząc go w „Hugonotach“, nie uczuliśmy chętki do śpieszenia na dalsze występy. P. Reverta ma głos wybitnie gardłowy, nie sympatyczny, ociężały, skłonny do tremola: są to cechy, które traktowaniu cudnej partyi Raula rzeczywistą szkodę przyniosły. Kilka dźwięczniejszych nut w wyższym rejestrze i p. wna rutyna nie zastąpią u tenora braku szerokiej kantileny i zapala dramatycznego. Widząc tę postać, poruszającą się ciężko, z pewnem skrzepowaniem, bez najmniejszej dystynkcyi, a śpiewającą również bez dystynkcyi, głosem ordynarnym, doznaliśmy jednego więcej rozczarowania do zagranicznych osobliwości, jakimi od czasu do czasu los nas obdarza. Zato nasi artyści z partyi swoich wywiązali się nadspodziewanie dobrze. Pani dowiadowska nie schodzi z piedestału primadonny: jest to nader zaszczytnie; — większą jednak za usługę ma panna Szlezygierówna, wstępująca szybko na coraz wyższe stopnie artystyki. Wdzięczną rolę Królowej Nawarry, ożywioną dowcipem i lekkością, pojęła ona wyśmienicie i owiała urokiem poetyzmu. Szlachetny jej jasny śpiew, odznacza się wielką precyzją, akcyja zaś — dystynkcyą i powabem. Panna Wojakowska umiała powściągnąć zbytnią ostrość swojego głosu. PP. Seideman i Chodakowski, jak zwykle, zbierali szczere oklaski. Czwarty akt Hugonotów obcięto według układu londyńskiego, na czem może zyskała akcyja, lecz amatorowie pięknej muzyki stracili chwilę interessujących wrażeń.

Echo Muzyczne rozpoczęło bardzo zajmujące i pożądane wydawnictwo muzyki wokalne, francuzkiej i niemieckiej, z w. XVI-go, XVII-go i XVIII-go. Dzieła te, z pięknościami których zaznała po części naszą publiczność p. Barbi, znajdują zapewne chętnie poparcie i zaciekawiają jako historyczny obraz rozwoju muzyki w tym kierunku. Wydanie, prowadzone przez p. Horbowskię, jest nader starannem.

Juliusz Staltler.

LIST Z ANGLII.

Dnia 1 Czerwca.

Jesteśmy tu w pełni letniego karnawału, tak zwanego londyńskiego sezonu. W zeszyłem liście podałem wam jego charakterystykę, więc już właściwie nie mam o nim nic do pisania, bo całą różnicę z roku na rok to jedynie stanowi, jakie piękności palmę pierwszeństwa otrzymają, czyje ekwipaże, stroje i tem podobne wielkopańskiego zbytku okazy świetnie się przedstawiają. Wielkiem zajęciem chwili, nie dla wybranej klasy dobrze urodzonych bogaczy, ale dla całego angielskiego narodu, jest, poza kwestyą irlandzkiego billu Gladstona, wystawa Indyi i Kolonii angielskich, otwarta przez królową z wielką

pompa w dniu 4-tym Maja. Mieści się ona na South-Kensington, a jest tak bogata, rozległa i rozmaita, że niepodobna mi przystąpić do jakiegoś regularnego jej opisu, bo zabrnąłbym w rzecz niewykonalną. Tom cały zapelnąć by potrzeba tym opisem, więc tylko dać wam mogę pobieżny, tu i tam skierowany rzut oka, i coś szczegółów najciekawszych.

Akt urzędowego jej otworzenia już do owych ciekawości zaliczyć należy. Książę Walii, który wystawie prezyduje, nakłonił królową, aby to była uroczystość wspaniała i w wielkim stylu; tak też rzecz się odbyła. Brali w niej udział wszyscy członkowie królewskiego domu Anglii, ciało dyplomatyczne, wszyscy urzędnicy korony, a wszystko w ubiorach urzędowych; dalej wyżsi officerowie w mundurach, cywilni w strojach dworskich porannych „levée-dress“, panie, też nie w ogonach, bo te na uroczystych dworskich przyjęciach wieczornych, wloką się za każdą z dam draperyą kilkołokciową, ale w dworskich strojach porannych, to jest krótkich. Że pochód ten, z heroldami na czele, z eskortą Gwardyi Szlacheckich, Gwardyi „Jeomenów“ w kostiumach średniowiecznych, był świetnie wspaniały i niezmiernie malowniczy — łatwo się domyśleć. Kolorytu dodawali mu jeszcze indyjscy reprezentanci wystawy, i innych kolonii angielskich, kommissarze królewscy, co wszystko, w miarę jak przybywano, przyjmował książę Walii w sali wstępu „Entrance Hall“, oczekując na królową, jako rzeczywisty prezydent wystawy, „Executive President of Exhibition“. Królowa przybyła o wpół do dwunastej. Sala Wstępu, albo inaczej: Sala Kolonii, była pysznie udekorowana, w niszach i załomach ścian umieszczono olbrzymie krajobrazy kolonii; w głębi, wprost głównego wejścia, widnieje panorama Londynu — wszystko z odpowiedniemi godłami, wszystko pysznie, wspaniale urządzone, bo należy to do gustów księcia Walii, aby podobne obchody odznaczały się królewską okazałością. Każdy Anglik czuje się z tego zadowolony, bo każdy jest z tego dumny; uczucie wyniosłości, buty narodowej, mieszka w sercu każdego z nich i uważa podobne uroczystości za publiczne występy ojczyzny swojej, więc nie chce, aby przytem skąpiono. Gdyby mu kazano złożyć na taki cel podatek, wcale by się nie targował z taxą, nałożoną na niego; dałby chętnie i hojnie. Królowa jest też kochaną, a przytem to reprezentantka Angli. John Bull lubuje się w jej paradzie, która jest dla niego jakgdyby własną porządą i dostojności jego znakiem widomym. Zdejmuje więc kapelusz z głowy i śpiewa: „God save the Queen...“

Gdy królowa ze stopnia powozu postawiła nogę na stopniu, wiodącym do przedsiionka wystawy, narodowy ten hymn zabrzmiał poważnie i uroczysto. Książę Walii podał rękę dostojnej swej matce i przez „Entrance Hall“ orszak wyruszył do „Indian Hall“ a posuwając się, rósł i potężniał coraz, bo łączyły się nim kolejno osoby i korporacye, czekając w Sali Wstępu, a teraz zajmujące przeznaczone sobie miejsca w pochodzie, wkraczającym do Sali Indyjskiej, której sufity i ściany były artystycznie obwieszane świetnemi draperiami z indyjskich bawełnianych wyrobów. Rzędami wzdłuż tej sali, lub w grupach pod ścianami stały jakgdyby żywe postacie rozmaitego indyjskiego typu, w całkowitem uzbrojeniu i ubraniu żołnierzy indyjskich, którzy jakoby tu straż trzymali. Zstępując z tej sali po kilku stopniach, królowa z orszakiem swoim znalazła się w najobszerniejszym, najbogatszym oddziale wystawy — w „Indyan Central Court.“

Ten „Centralny indyjski dziedziniec“, czyli indyjski plac, został rozdzielony między wystawy rozmaitych prowincyi i państw indyjskiego cesarstwa. Poczynając od najdalej na wschód i posuwając się geograficznym porządkiem ku Zachodowi występuje najpierw Rajputana, zawierająca oddziały: Dzejjpur, Kotah, Karanli, Ajmere, Dżotpur, Bikaniri i Ulwar. Dalej ukazują się Indye środkowe, Bombay, i Baroda, Bengal z Nepalem, prowincye Północno-Zachodnie i państwo Oudh, Kaszmir, Pendżab, Assam, Burmah, Madras, nakoniec — już u Podwoi Królowej: „Queen's Gate“ Mysora, Hajderabad. Kto posiada jakakol-

wiek znajomość Indyi i ma przybliżone choć pojęcie, co to jest indyjski przemysł, indyjskie bogactwo, przepych—oryginalność indyjskiego smaku, indyjskiej fantazyi i świetność indyjskich farb—gama tamtejszych kolorów, zrozumie, jaki to widok przedstawia taki plac indyjskiej wystawy.

Dodać trzeba, że każdy pojedynczy oddział tworzy odrębną całość, swój oddzielny „court“ z fasadą, coraz to z innego, a najrozmaitszego materiału budowlanego i najrozmaitszego kształtu; przepierzenia zaś, czyli ściany tych „court“, jakie to tam są!.. Złożone z wysmukłych kolumn, kunsztownie rzeźbionych według miejscowego smaku i wzorów miejscowej sztuki, są nieraz same w sobie arcydziełami, a lekko i śmiało strzelając w górę, podpierają przedziwnego wdzięku łuki, ponad którymi wznoszą się jeszcze ozdobne, bogato rzeźbione, ażurowe facyatki z białego alabastru, marmuru, cegły, z drzewa najrozmaitszych barw i cieni, z kości słoniowej, z laki wszelkich kolorów, z bambusowej trzciny, mieszanej z kunsztownymi matami cienkości pajęczej, wreszcie z damasceńskiego żelaza inkrustowanego srebrem i złotem. Niektóre są zmniejszoną kopią świątyni i historycznych gmachów indyjskich.

Wnętrze tych przepięknych bazarów zawiera nieobliczone okazy indyjskiej sztuki i indyjskiego bogactwa w wyrobach ze srebra, złota, drogich kamieni, w kunsztownej ceramice, przepysznej jako kształt i koloryt, w indyjskich miękkich jedwabiach, w dywanach, szalach, tkanych ręcznie w krosnach, w haftach, w tkaninach mieszanych ze srebrem i złotem. A wśród tego najróżnorodniejsze bronie i trofea historyczne, bożyszczą stare, całe ze złota, z oczyma brylantów, rubinów, lub szafirów. Na lewo od głównego wejścia jest pawilon, urządony już przez kommissarzy wystawy, a w którym zostały zgromadzone wszystkie handlowe i ekonomiczne płody Indyi.

Wystawa wyspy Ceylon stanowi wielką atrakcją wystawy, bo niejaki Rowland Ward wystawił tam plastycznie wnętrze indyjskiego lasu, zajmujące sześćdziesiąt stóp przestrzeni, wśród którego indyjski łowiec tygrysów tropi swoją krwiożerczą zwierzynę. Podkraża on się podstępnie, nie widziany, niesłyszany przez mieszkańców tego państwa natury. Jedno tygrysiątko siedzi na głowie słonia, tygrys spokojnie przeciąga się i ziewa, tygrysica bawi się z dwojgiem małych, zgrabnych, i zdawać-by się mogło, że niewinnych, pieszczotliwych stworzonek. Dwa tygrysy widzialne są jeszcze w głębi. Tak modelowanie, jak ugrupowanie jest bardzo piękne i ludzie tłoczą się tutaj bez końca. Ja sam nieraz już tu byłem, i napatrzeć się nie mogłem, tak to graficznie stawia przed oczyma obraz natury dziewiczej, gdzie człowiek jeszcze nie panuje, a tylko jak złodziej zakrada się cichaczem. Ci, co znają Indye, unoszą się nad wiernością i doskonale schwytaną charakterystyką.

Warto przyjechać i zobaczyć. Anglik nie namyślałby się długo nad podobną wyprawą. Zapakuje sobie w skórzany kuferek, który w ręku unieść może, parę koszul, w kieszeń włoży sobie butelkę ze starym rumem, w pugilaresie ma parę wexli płatnych w miastach, przez które zamierza jechać, a w dodatku parę funtów szterlingów zmienionych na drobniejszą monetę, i—jeżeli pomyślał o tem rano, to wyjeżdża wieczorem tak spokojnie, jak Warszawiak, gdy mu się zachciało pójść spacerem na Bielany, lub na odpust do Czerniakowa.

Na środku „Indian Central Court“ stoi wzniesiony śliczny gołębnik, tak lekki i wdzięczny, że zdaje się, jakgdyby go zdmuchnąć można było, a cały rzeźbiony tym indyjskim cierpliwym kunsztem, który sprawia, że ich ornamentyka nie daje się równać z żadną inną w delikatności swojej. Od tego to punktu, królewski orszak zawrócił się na prawo i zostawiając poza sobą wystawę Indyi Ceylonu i Wysp Maldiwskich, posuwał się, aby przejść między wystawę Starego Londynu: mając po lewej ręce, a wielkim indyjskim pałacem, który jest cały tej barwy żółtawo-

różowej, co się tu zowie kolorem łososiowym: „a salmon colour.“ Że zaś wszystkie ornamenta są białe, oku się zdaje, że to jakieś cacko delikatne, jak koronka. Cały dół przedstawia otwarte arkady, w których indyjscy—prawdziwie i rzeczywiście indyjscy rzemieślnicy, mają urządzone warsztaty i tak w nich pracują, każdy w swoim fachu, jak to bywa w ich ojczyźnie w pałacowych dziedzińcach indyjskich ksiąząt.

Najważniejsze i najoryginalniejsze gałęzie produkcji indyjskiej ukazują się w ten sposób oczom ciekawych w naturalnym swym biegu wykonawczym: tkanie szali, kobierców, jedwabi mieszanych ze złotą i srebrną nicią, rzeźbienie i toczenie drzewa, przerabianie złota i srebra, szlifowanie i oprawianie drogich kamieni, przepyszne wyroby z miedzi i brązu, który w swojej kompozycyi nie ustępuje sławnemu bronzowi korynckiemu, a którym pyszni się obecni Delhi; dalej wyroby cukiernicze, jakich nieznają Europa, wypalanie gliny z najpyszniejszą na świecie glazurą i miniaturowe malowanie na fajansie figurynki fajansowe z Lucknow.

Wyższe piętro pałacu zajmowali różni przedstawiciele Indyi, dygnitarze cywilni i wojskowi, duchowieństwo, korp. racye rozmaite—co wszystko wystąpiło na powitanie królowej, a gdy w dalszym ciągu pochodu orszak królowej przeciągał przez stary Londyn; trzymająca tam straż gwardya Yeomenów w średniowiecznych strojach, prezentowała broń i tu jest to jakgdyby karta historyi angielskiej, plastycznie przedstawiona oczom ludzkiem. Tu, ludzie się cisną z uczuciem innym, niż dla oglądania tygrysów—matki prowadzą tu dzieci, zwłaszcza z klasy rzemieślniczej, z ludowych sfer—dzisiejszego Londynu zawsze tu jest w dniach przeznaczonych na ludowe zwiedzanie wystawy, tłok widzów.

Anglik patryotą jest do szpiku kości i patryotą niesłychanie dumnym z ojczyzny swojej. Kiedy innym narodom zdaje się, że wszystko obce lepsze—tu przeciwnie. Anglia, w pojęciu Anglika jest czemś godnem największej czci i uwielbienia. Czasem wydaje się to pychą, jak też jest niewątpliwie, ale, że płynie to ze źródła miłości rzeczy swoich, staje się to cudowną podstawą dla narodowego uczucia synów Albionu i wskutek tego wędrują oni bezkarnie po całym świecie, zakładają dalekie kolonie, nie wynaradawiając się nigdy. Anglik wszędzie ze sobą niesie starą Anglię; ma ją w sercu, oprawną w rodzinne zwyczaje, rodzinne gusta i dlatęgo powiedzieć można, że nigdy z niej nie emigruje—przebywa w niej zawsze przez nierozzerwaną nigdy z krajem spójnią zwyczajów, obyczajów, nałogów—złych, czy dobrych, ale jego, angielskich!

Dalsza galeria, którą przebyła procesya królowej, ma na prawo Nową Walią, na lewo Wiktoryą. Ta ostatnia kolonia angielska wystawiła, jako trofea, bryłę złota, naturalny niby wawóz, zarosły olbrzymiami paprociami i bajeczne ptasiarnie z ptastwem najświetniejszego jak sobie wyobrazić można upierzenia. Sprowadzono z Melbourne okręt cały rozmaitych roślin tamtejszych i owoców, a dodać trzeba, że wszystko to do podziwienia świeże i wybornie dowieszone. Zwykła podróż parowcem trwa sześć tygodni, obecnie przy możliwie powiększonej szybkości udało się odbyć ją w trzydzieści jeden dni. Rozpisują się tu nad tem, że przepyszne owoce australskie mogłyby w ten sposób dostawać się do Europy, a że tam właśnie wiosna jest i lato, gdy u nas jesień i zima, więc handel marzy już o wielkich zyskach, a smakosze o Lukullusowych ucztach dla podniebienia swego.

Nowa Walia jest też pięknie udekorowana z przepięknym ptactwem i klombami kwitnących roślin, zmieszanych razem z wielkim artyzmem i gustem, można powiedzieć poetycznym. Sześć placów, oddanych wystawie australskiej, mają przyległe sobie niby ogrody z nieopisanymi cudami flory miejscowej i dwa kanały idące środkiem, przez które rzucone dwa mosty w wiejskim, prostym stylu, łączą Południową Australią z Nową Zelandią i Zachodnią Australią z Malcią. Południowa Australia mieści też wystawę krajobrazu: zarosli ze zwierzętami i ptakami swemi, z dwoma dzikimi tej biednej rasy miejscowej, która

zwolna ginie, w zetknięciu z cywilizacją europejską. Widok tych biedaków zrobił mi przykrość. Nędzne te istoty, to ludzie jednak,—czy na to stworzeni aby ich biały człowiek wytracił? Kwestya niewymownie smutna. Europejczyk opanowuje dziś ziemię, niosąc zagładę...

Pochód królowej przeciągnął między ogrodami australskich roślin do oddziału Wystawy Kanadyjskiej. Oddział ten „Dominion of Canada“ nosi nazwę „Central Annexe“; nad wejściem rozwieszono olbrzymią kolorową mapę obu półkuli ziemi, a w niej wszystkie krainy, należące do korony angielskiej, odznaczono wybitnie. Powyżej jest umieszczonych pięć wielkich tarcz zegarowych, pokazujących czas według tego, jak go się liczy: w Greenwich, w Kalkucie, w Ottawie, w Sidney i na Przylądku Dobrej Nadziei w Cape Town. W górze po nad tem olbrzymi posąg Wielkiej Brytanii.

I tu bywa tłok. Gromadzi tu ludzi także uczucie dumy narodowej. W piersi każdego Anglika brzmi tu mimowoli stary hymn: „Rule Britannia!“

Z oddziału Kanadyjskiego pochód wyostał się na grunt swobodny i przez ogrody królewskiego stowarzyszenia hodowli kwiatów „Royal Horticulture Society“, mijając wspaniałą posąg księcia Alberta i pyszną fontannę, która ciskała słupy wody, mieniące się świetnymi barwami tęcz, ciągnął ku Albert-Hall, a trzeba dodać, że pogoda była prześliczna, pierwszy prawdziwie wiosenny dzień w Londynie. Jest w Anglii przesąd, powstały niewątpliwie z miłości narodu do królowej, że każdy taki dzień, w którym królowa występuje publicznie, musi być pogodnym, co w angielskim klimacie byłoby nie małą rzeczą. Ztąd dnie nagle przez promienie słońca rozświetlone zyskały tu nazwę „Queen's weather“. Lud angielski idzie dalej—ma przekonanie, że królowej Wiktoryi wszystko się szczęści:—wszelkie przedsięwzięcie wychodzące z jej inicjatywy, musi się powieść.

Jednak cnota, dobroć, czystość, ma jeszcze swoje wysokie prawa—swoje znaczenie u ludzi i dla tych przymiotów szlachetnej duszy królowa angielska jest przez naród swój tak kochaną.

Do Albert Hall pochód dostał się po platformie, pokrytej indyjskimi dywanami, a to dla oszczędzenia królowej męczącego przebywania wschodów. Tu w programat uroczystości wchodziła muzyka i poezya. Poeta Laureat, to jest Tennyson, napisał ode: „Wystawa“ do której słów sir Artur Sullivan dorobił muzykę. Królowa wchodząc, została przyjęta śpiewem, potem książkę Wali, jako prezydujący odczytał adres i królowa oświadczyła, że wystawa Cesarstwa Indyjskiego i Kolonii Angielskich jest otwarta!

Ogrzał to wszystko ciepły promień dobrego synowskiego uczucia. Książę Wali po słowach królowej schylił się i ucałował rękę matki tak serdecznie, tak poprostu—poludzku, że wszyscy doznali niewypowiedzianego miłego uczucia przyjemności.

Królowa była w pięknym gronie dzieci i wnuczek. Oprócz synowej i dzieci księcia Wali, już dorosłych pięknych panien i kawalerów, miała przy boku swoim najstarszą córkę Wiktoryę i księżnę Beatrycę z mężem. Ludziom a zapewne i jej samej przypomniało się niewątpliwie, jak trzydzieści pięć lat temu, młoda, szczęśliwa małżonka prowadząca za rękę dwoje swoich najstarszych dzieci, szła obok gorąco kochanego męża, aby otworzyć pierwszą wielką wystawę europejską (z r. 1851). Było to lato życia, teraz przyszła jesień, ale nie smutna jeszcze, nie ogołocona z pociech i ciepłych promieni słońca, i tylko w naturalnym porządku rzeczy dążąca do swego końca, z żalobą po życiu stratach nieuniknionych. Królowę Wiktoryę liczyć można do najczęstszych kobiet na tronie. Umiała żyć dobrze i wywiązało się z tego istnienie szczęśliwe.

(Dokończenie nastąpi).

SPRAWA W DRUGIEJ INSTANCYI.

Szczególnem zrządzeniem przypadku legendowa postać żony greckiego mędrca—historycznej fury Xantypy wystąpiła nagle na porządek dzienny uwagi ludzkiej. W początkach zeszłego roku młoda poetka angielska napisała białym wierszem dramat „Xantypa,” drukowany w miesięczniku, który jest organem Uniwersytetu londyńskiego; wkrótce potem Teodor de Banville wystawił na scenie paryżkiej Odeonu komedya, wierszem także, „Żona Sokratesa,” a tu i tam poeta usiłuje rehabilitować tę grecką jędzę: Banville przedstawiając ją jako gorąco kochającą, namiętą i zazdrosną małżonkę, angielska pisarka jako w godności swej obrażoną kobietę, która chce wspólności uczuć i myśli męża, chce obcowania umysłu swego z jego umysłem—równości praw swego ducha z jego duchem. Obecnie w ostatnim, majowym, zeszytce paryżkiej publikacji: *Journal des Savants*, Ch. Levêque rozbiegając uczoną pracę profesora berlińskiego uniwersytetu, Edwarda Zellera: „Filozofowie Grecy,” zatrzymuje uwagę na postaci Xantypy.

Zeller w samym tekście książki napisał o niej ledwo kilkanaście wyrazów: „Domowe życie Sokratesa w towarzystwie takiej, jak Xantypa, kobiety nie było bynajmniej wesołem, przecie jej unoszenia się gniewne, tak nie mogły mącić filozoficznego spokoju jego duszy, jak troski niezamożnego bytu nie oderwały go od zajęć, które uważał za posłannictwo swego życia.” Ale zaraz u dołu karty znajduje się przypisek: „Takie brzemie złego zwałono na barki Xantypy, że ogarnia mnie pragnienie oczyszczenia jej pamięci. To, co Platon i Xenofont napisali o niej, przedstawia kobietę, nie tak zupełnie złą, niezaniebdującą obowiązków rodzinnych, jak raczej gwałtowną, trudną do pokierowania—nieznośną w domowym pożyciu.”

Sąd taki niemieckiego badacza, oparty na dwóch świadectwach współczesnych i to takich, jak Platona, owiele łagodzi jaskrawość barw, jakimi przywykliśmy sobie malować postać żony Sokratesa—pisze Levêque, dodając, że odejmuje to zarazem coś śmieszności, która mimo wysokiej mądrości ateńskiego filozofa, mimo jego spokojnej cierpliwości, czepiała się w szeregu wieków jego osoby, jako męża, nie umiającego ukrócić złej żony.

— Jak przecie człowiek taki mógł pokochać podobną kobietę i uczynić ją towarzyszką swego życia?—pyta mimo to Levêque, a dwa ustępy z Xenofonta dają mu na to odpowiedź: Xantypa była bardzo piękną, kształtną, wyniosłą kibici; umysł miała niepospolity i wielką żywość dykcyi, a na zarzuty, podobne jak u Levêque'a, Sokrates sam odpowiada synowi swemu Lamproklesowi, że w chwili zawierania małżeństwa wiele znaczący wzgląd na przyszłe dzieci, których wybierana kobieta ma być matką. On spodziewał się „najpiękniejszych” i zaślubił Xantypę o której mówi dalej: „Ta matka cię kocha; otacza cię najtkliwszymi staraniami, gdy jesteś chory; modli się do bogów, aby zlewali na ciebie błogosławieństwa swoje — a ty się skarżysz na jej humor? Myślę też, że jeżeli nie możesz znieść takiej matki, nie możesz znieść nic dobrego...”

Xantypa, z której uczyniono niesławny typ kobiety unieszczęśliwiającej tego, kto uczyni ją naczelniczką swego domu; której przez wieki nie dają pokoju w grobie, wyciągając ją z niego ustawicznie, jak kościotrup Sicińskiego w Upię — ta Xantypa nieszczęsna posiadała za tem

nietylko piękność tak rzadką, że zaślubiający ją człowiek marzył o dzieciach „najpiękniejszych” przez podobieństwo do matki, ale i wysokie cnoty rodzinne. Umiała kochać i otaczać swe ukochanie „najtkliwszymi staraniami,” była religijną i zdolną do pobożnych uniesień modlitwy, wznoszonej za pomysłność drogich jej istot!”

Tak! lecz co otrzymała w zamian—czyją miłość, czyje uznanie? Syn skarży się przed ojcem, że mu ją dał za matkę; ojciec, chcąc gromić go za to, i w sądzie bezstronnie wydanym ocenia jej przymioty, jednak sam czy kocha ją, czy chce dzielić z nią życie? Nawet w godzinie śmierci nie żąda jej obecności, i zanim wypije kielich trucizny, nie pragnie jej pożegnać i pożegnać jej nie chce; nie chce jej łez i żalu, a bynajmniej nie z tej przyczyny, aby się obawiał rozczulić i zmięknąć—słabość serca okazać. Nie... odsuwa ją, bo mu przeszkadza, bo chce mieć przynajmniej ostatnią godzinę życia swobodną i Xantypa przedstawia rzeczywiście tragiczną postać ciężko nieszczęśliwej kobiety,

Piękna, kochająca, pilnująca obowiązku, nie przywiązała do siebie żadnego serca, ani męża, ani dzieci—z pięknej, kochającej, pilnującej obowiązku, uczyniono historyczne straszdyło jakoby fury z głową Gorgony o węzowych splotach—i dla czego?

Do osiągniętego szczęścia, do podzielonej miłości, do przyznanej zasługi i sprawiedliwości wymierzonej zabrakło jej tylko jednej, jedynej rzeczy—jednej skromnej, potulnej cnoty niewieściej, która się zowie: dobrocią, łagodnością, słodyczą charakteru! Tego tylko i nic więcej! tego, co-by było jak spinką u sznura pereł, jak kluczem, otwierającym szkatułkę ze skarbami...

Tego jej nie dostawało jedynie, i perły jej szczęścia uciekły; do skarbu najdroższego kobiecie, najdroższego mężczyźnie — każdemu wogóle człowiekowi od króla do żebraka — do skarbu miłości ludzkiej nie dobrała się nigdy.

Biedna Xantypa! biedna Xantypa!

— „Avis au lecteur!”—pisze francuzki publicysta, zdający sprawę z uczonej pracy Zellera. Zapewne miał na myśli konkurentów do stanu małżeńskiego i na francuzki lekki sposób ostrzega ich przed pięknymi Xantypami i losem Sokratesa, lecz dodać-by jeszcze należało:—Avis aux lectrices! boć nie była szczęśliwą i ta, uszczęśliwić nie umiająca.

Zpod dziejowego pyłu wydostano obecnie jej sprawę i odszukano dokumenta, które dostarczyły na jej korzyść okoliczności łagodzących,

czy więc wyrok, przez szereg wieków ciążyący na jej głowie, uchylonym i zmienionym być może?

Niestety! nie... Naczelne pytanie: czy wypełniła powinność człowieka na ziemi—czy przysposobiła wśród ludzkości coś szczęścia i cnoty? pozostaje dotąd niezmiennie ze znakiem ujemnym odpowiadzi przeczącej. Szczęścia nie wzięła, ale i szczęścia nie dała, przygniała ją też ciężki grzech tego braku, z jej przyczyny wytworzonego, który za sobą prowadzi cały szereg następstw bolesnych: niedobór rodzinnej cnoty miłości dzieci do matki i ich niewdzięczność, ich nieocenienie jej zasług, nieodpłacenie jej poświęcającego się przywiązania, wyłamanie im przez to w sercu najpierwszej, najdonioślejszej przez edukacją uczucia podstawy moralnej. A winy tego męża, że on mędrzec, wzór dla innych, ma na sobie plamę oschłości serca dla tej, która mu wiernie w obliczu Bogów przysiężoną miłość chowała? A jego smutki, z samotności opustoszałego serca powstałe—a jego tęsknoty za tkliwym, słodkim uczuciem podziałem, za ciepłą pierśią takiej towarzyski życia, na której mąż, w służbie ludzkości spracowany, może oprzeć głowę zmęczoną? Wszystkie jego grzechy przeciw niej—to jej grzechy. Spadała zaraz na nią pokuta za nie, ale niemniej jej wina je zrodziła: ona więc, jako przyczyna pierwsza, przysposobiła światu zła, a dobra ujmowała; gasiła w duszach promienie światła, dające ciepło i jasność, rozszerzała ciemność, płodziła zimno. Odejść też musi nierozgrzeszona z tego forum sądów ludzkich, które ponownie się nad nią podniosły—nieszczęśliwa, ale winna, tak jak wszystkie jej podobne: gwałtowne i namiętne, w egotyzmie swym silnie zacięte i tkliwości serca pozbawione—złoźnice, potępione dla tego, że są na drodze ludzkości kamieniem obrażenia, o który kalcją się nogi podróżnych—że rozdmuchują zarzewie nienawiści, a zalewają świętą iskrę ognisk domowych, przy których chowa się dziecko, a grzeją duchy mężów, czynią się ofiary bóstwom przeszłości ojczystej—larom i penatom rodu.

M. I.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się dokończenie powieści pod tytułem: **Szaleństwo**, przez Z. Mairret; oraz arkusz 1-szy powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencję Marryat.

Tom piąty (ostatni) pism

NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ

(GABRYELLI)

wyszedł z druku.

Zbiorowe to wydanie pism znakomitej autorki, obejmuje w sobie między innymi, powieści pod tytułem: **Poganka, Prządki, Maina i Kościej, Daiko z Jawuru, Capriccio, Biała Róża, Książka pamiątek, Czy to powieść, Kasja i Marynka.** — Zbiór poezyi. — O wychowaniu początkowem. — Słowo do dzieł Hofmanowej i t. d.

Cena całego wydania w 5-ciu tomach (108 arkuszy) wynosi rs. 5. Nadsyłający z prowincyi rs. 5 na to wydanie wprost do księgarni **M. Glücksberga**; Wydawcy, przy ulicy Królewskiej Nr 5, kosztów nie ponoszą.

TREŚĆ. Kartka z pamiętników poety, przez Szczęsną. — Boży gniew, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Dawni i nowocześni przez Ed. Lubowskiego. — Ruch muzyczny, przez Jul. Stättlera. — Listy z Anglii. — Sprawa w drugiej instancji, przez M. Ilnicką.

Dodatek obejmuje: Dokończenie powieści pod tytułem: **Szaleństwo**, przez Z. Mairret; oraz arkusz 1-szy powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencję Marryat. — 31 wzorów ubiorów robot wraz z opisem **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycją stołu.**

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 28 Мая 1886 года.